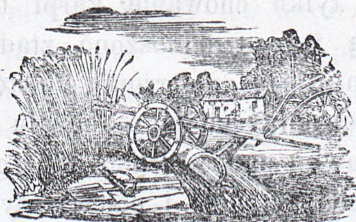
Tom IV. 1. Grudnia 1871. Nr. 16.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stodoły, stawy, pszczoły i handel zbożem w dawnej Polsce.

Cała Polska, z wyjątkiem Rusi białej, chowała zboże albo w gumnach, albo w brogach. Czasem u dobrego gospodarza było do sześciuset brogów, nakształt wież czworograniastych, i do piętnastu lat stały z różnem zbożem. Biało-Rusini zebrane zboże znosili do grydni (izb obszernych), a tam młócili je, chowali w sąsieki, albo zsypywali do jam, umyślnie na to wykopanych w lesie, i powykładanych słomą, ażeby się nie psuło. W tychże jamach chowali też połcie słoniny, sér, masło, leguminę i co najlepsze szaty, zwłaszcza podczas wojny, aby je ochronić przed nieprzyjacielem.

I rybołowstwo należało do miłych i korzystnych zatrudnień gospodarstwa wiejskiego. Osobliwie szląscy panowie, ubrani w długie buty, jak rybacy uganiali się po stawie za karpiami i szczupakami. Wszakże nie mieliśmy zdatnych stawiarzy, czyli rzemieślników trudniących się zakladaniem i czyszczeniem stawów, lecz sprowadzaliśmy ich z Czech, Morawii i Szląska, gdzie dobrze urządzone były stawiarskie cechy. Przyczyna tego była, że w Polsce nie tyle popłacały ryby, ile w krajach bliżej Niemiec, lub na Rusi, gdzie długie zachowywano posty, i gdzie drożej i prędzej można było spieniężyć ryby. Pomimo to w lichym stanie znajdowało się na Rusi rybne

gospodarstwo, bo tam i źle budowano stawy i nieporządnie je spuszczano. Samo tylko chowanie karpi udawało się dobrze w Polsce; większą u nas odnoszono ztąd korzyść, niż na Szląsku, z przyczyny lepszego gruntu, który wielce sprzyjał mnożeniu się i hodowaniu ryb tego rodzaju Tym końcem zakładano stawy i stawki, sprowadzano do tego i drogo opłacano rzemieślnika. Potrzeba mu było i płacić i żywności dostarczać, a to w stosunku do zapłaty pieniężnej. Do zapłaty pieniężnej w dodatku odberał stawiarz różne żywności, biorąc albo połeć mięsa, albo faskę masła, albo też kopę sera.

Główną gałęzią gospodarstwa w ziemiach ruskich bylo pszczelnictwo, gdzie się i obficie mnożyły pszczoły, i ziemia była nader sposobną do pielęgnowania licznych pasiek. Ale zastarzały zwyczaj w chodzeniu około tego zatrudnienia nie dopuszczał przystępu do siebie poprawom nowym, ztąd była ujma w gospodarstwie miodowem, zwłaszcza, gdy bez braku złe i dobre, nawet i najlepsze pszczoły co rok tu wytępiano, dla zrobienia miejsca nowemu przychowkowi. Drugą było wadą, że tu nie tak swobodnie mógł się oddawać dozieraniu pszczół pasiecznik, jak w innych krajach Polski, który niemając utrzymania od pana w pieniądzach sobie wyznaczonego, z kawała wyznaczonej roli utrzymywać się musiał, tak iż i roli i pasieki pilnując, jedno lub drugie zaniedbywał. W ziemi żmudzkiej najlepsze były miody; w obszernych i krzewistych lasach roje pszczół niezliczone wyrabiały je. W miodzie tym bardzo mało było wosku, ale ten, co się w nim znalazł, nader był biały, jak alabaster.

Rządny gospodarz ze wszystkiego umiał ciągnąć korzyści. Pod wielkiemi miastami kto żył, miał wielkie zyski z nabiału. Pod Gdańskiem jedna krowa czyniła za samo mleko trzydzieści złotych ówczesnej monety rocznego dochodu. Hodowanie i wypasanie tak trzód, jak rogacizny i drobiu, stanowiło jeden z głównych zarobków wiejskich. Owce chowano dla strzyży i na jatkę; pasał je owczarz z kobiałką na plecach, bez której nigdy nie wyruszył w pole z trzodą. Gęsi wypasał lada czem, nie koniecznie owsem. Zimowane wołki pędził do Szląska i do Prus — w Brzegu i w Gdańsku głównie znajdował na nie odbyt.

Szlązacy i Prusacy szczególniej zarabiali na płótnie, i dobrze wyrabiali, i pięknie bielili ten towar. Bielono płótno na polu i tamże je przez noc zostawiano pod dozorem stróżów, którzy w budkach umyślnie na to zbudowanych siedzieli.

Wycinano sosny na smołę, dęby na szkuty. Były większe i mniejsze; tamte się nazywały szkuty z kulesami, te dubasami. Mniejsze od tych statki zwano komięgami, a od tych jeszcze mniejsze półszkutkami. Prowadzono niemi handel zbożem i solą i pierwsze spławiano, drugą rozwożono pomiędzy sąsiady. Ułatwiały ten handel wielkie i małe rzeki, które w różnych kierunkach przepływały Polskę, jako to: Wisła, Dunajec, San, Dniepr, Dniestr, Warta, Noteć, Bug, Prypeć, Odra; tudzież wpadające do Wisły lub do Bałtyckiego morza: Sula, Premza, Poprad, Skawa, Wisłoka, Ropa, Nida, Wieprz, Drzewica, Pilica, Walbora, Narew, Bzura, Buda, Ossa, Motława, Dźwina, Wilia i insze jeszcze pomniejsze.

Po tych spławach bardzo była rozgałęziona żegluga i już w ówczas wydoskonalona wielce.

Jak tylko rolnik miał zapas żyta, zaraz sobie sprawił i dubas, albo półszkutek, wprzód jednak musiał zarobić nieco grosiwa na komiężce małej, przewożąc na niej skromne towary. Gdy zebrał pięć tysięcy, płynął półszkutkiem, a nawet odważał się na szkutę. Chciwy na pieniądze, puszczał się na wodę, nawet ze Świętą Barbarą, kiedy właśnie powstawały srogości morskie, ażeby coprędzej stanął w Gdańsku i drogo sprzedał swe zboże. Jeżeli mu się poszczęściło, odważał się później i morzem żeglować jako kupiec.

Rozmowa przed karczmą.

(Dokończenie).

— No, ani gadania — odezwał się Józef — ale czasem między niemi to więcej rozumu jak poczciwości.

— Dwa lata temu, kupiłem siwego konia; dwa dni orałem nim w polu i chodził mi dobrze, trzeciego dnia wyprowadzam go, patrzę, a tu moja szkapa napada na prawą nogę przednią. Zafrasowałem się, oglądam, macam i tak i owak, i nie mogłem pomiarkować. Nasmarowałem mu więc nogę wódką, rzuciłem

siana i zostawiłem w domu. — Na drugi dzień patrzę, szkapsko zdrowe, tylko przeciąga się, co się cały dzień wyleżał; robię nim dzień, dwa i znowu trzeciego dnia okulał. Ja znowu do wódki, do smarowania, i tak było do trzech albo i więcej razy, że myślałem, iż szkapsko wieczysty kaleka.

— Ażto może było udanie? — zapytał jeden ze słuchających.

— A tak moi kochani, i nigdybym tego był nie doszedł, ale raz zapomniał o prawej nodze i zaczął na lewą utykać. Patrząc myślę sobie, czyby na obie był taki wadny? I kiedy mu się przypatruję, a on kulenie przerzucił na prawą nogę, bo mu tak widać było poręczniej, a o lewej zupełnie zapomniał. Oszukaństwo zaraz mi przyszło do głowy, ale jeszcze nie dowierzałem sobie, więc przypatruję się, a mój siwek trzyma nogę zgarbioną, łeb ku ziemi pochylony i tak śpi, że czasem zachwieje się jak na upadnięcie i o mało, że nie chrapi. Zmiarkowałem zaraz co się święci i tak myślę sobie: poczekaj, ja cię tu zaraz otrzeźwię. Wziąłem więc kubeł wody i jak nie chlusnę mu prosto w łeb, jak mój siwek nie skoczy i nie pójdzie w podwórze, to tylko się za nim kurzyło. — Patrzę, a on idzie zdrowo i nic nie napada, więc go zaprzągłem do brony, ale on znowu sztykał, sztykał. Ja znowu wodą i tak aż do wyzdrowienia, bo jak skalkulował, że sobie ze mną nie poradzi, zabaczył całego swego udawania i teraz taki ciągle zdrów, że lepiej nie trzeba. — Widzicie więc, że więcej w moim siwku było rozumu jak poczciwości, a przebiegu najwięcej.

— No zapewne — odrzekł Ambroży — ale równie wasz siwek, to poczciwszy nie od jednego człowieka, bo kiedy on radby był co trzeci dzień odpocząć, to między ludźmi są tacy, co całe życie próżnują, a jeżli idą do pracy, to robią byle zbyć.

— Wasz zaś siwek chciał od was tylko trzeciny, dwa dni dla was, jeden dla siebie.

— O! już to ani gadania -- odrzekł Józef — wszędzie ma rozum, gdzie mu idzie o kałdun albo o robotę, ale w pługu, w wozie, to taki głupi, że nic z nim nie poradzisz, tylko z bata i z bata.

— A czy między ludźmi mało takich? — odezwał się Ambroży — co o jadle nigdy nie zapomną, a o robocie to trudno im przypomnieć? Szczepan to jeden z takich, to też dzieje się u niego wszystko Bóg wie po jakiemu, a szkapska najbiedniejsze z tej jego niedbałości. Ale poczciwe te bydlęta, oprócz przywiązania i przebiegu, mają i rozum, że się mu nadziwić nie można. Kiedy byłem w Warszawie, to widziałem komedyantów, co na koniach rozmaite pokazują sztuki, to powiadam wam, że aż w głowę zachodziłem. — Bo to pan ich stoi w środku, a one same do koła latają, i co rzeknie, gdzie mu każe iść, to w tę, to w tamtą stronę, to szkapsko idzie, przeskakuje przez drążek, wraca się, przychodzi do niego, jakby każde jego słowo rozumiał. Ciśnie mu chustką na ziemię i każe mu ją przynieść, albo zagrzebie gdzie w piasku i każe mu szukać, to szkapsko póty chodzi, póty wącha, póty grzebie nogą po piasku, gdzie miarkuje, że jest chustka, aż ją znajdzie i potem dyrdakiem leci z chustką do swego pana i oddaje mu. Nakryją potem do stołu, to siądzie przy nim na zadzie, przedniemi nogami podeprze się, zawiążą mu serwetę na piersiach i zjada cały obiad. Lokaje się uwijają, odmieniając talerze, a jak mu się zdaje, że długo mitrężą, to zębami ciągnie taśmę co idzie od dzwonka, dzwoni, to wtedy lokaje o mało się nie pozabijają, co tak kręcą się na wszystkie strony.

— Bogać to nie mają się kręcić — przerwał Józef — bo jakby złapał którego za łeb albo kopnął nogą, to nie żart moi luuzie.

— Potem naleją mu kubek wody — mówił dalej Ambroży — to weźmie zębami, przechyli i pije, jakby człowiek nie przymierzając, że mu w gardzielu tylko bulkocze. — Ale to fraszka, bo potem jak muzyka nie zagra s z t a i r a, jak mój koń nie stanie na dwóch nogach, i jak się nie chwyci ze swoim panem, to tak tańczą, jak nie przymierzając, parobczak w karczmie z dziewuchą.

— O! dla Boga, a cóż to za konie takie? — zapytał Józef z wielkiem zdziwieniem — i jakże, dobrze mu się szykuje?

— A jakże, równo wszystko z graniem — odrzekł Ambroży, a Izydor, co nie mógł zapomnieć pokpiwania z siebie Józefa, odezwał się:

— To te konie, mój Ambroży więcej mają w sobie składności i rozumu niż sąsiad Józef, bo się nauczyły tańca, a Józef i postarzeli się, i ani weź, że aż śmiesznie patrzeć, kiedy się zabiorą do tańcowania.

Wszyscy się rozśmieli, a Józef zaczerwienił się i po chwili rzekł:

— Jakim mnie Bóg stworzył, takim jestem, ale wy, to przeszliście samego komedyanta, bo on nauczył konie tańcowania, a wy waszego karego takiej sztuki, że jak się w drodze napijecie i leżycie na wozie bez duszy, to on was z końca świata przywiezie do domu. Tylko profit z tego macie gorszy, bo za tę naukę komedyant bierze pieniądze, a wy od żony...

— O! strasznieście mądrzy — przerwał z gniewem Izydor — zawsze wam w głowie mój kary. — Żeby zwadę przerwać, odezwał się Ambroży:

— Z tego wszystkiego, cośmy tu nagadali, to przekonać się łacno, że konie, to nie są tak jak drzewo w lesie albo kamień w polu, ale widać, że myślą, rozumieją i pamiętają Dlatego należy z poczciwością koło nich obrządzać się, nie bić, nie katować, nie przeciążać robotą, wozu zbytecznie nie ładować, tylko tyle, co koń może uciągnąć; nakarmić, napoić, oczyścić, żeby zaprząg na nim był z wygodą, to koń zawsze będzie piękny, wesoły, ochotny do roboty, a nie tak, jak szkapsko Szczepana, co więcej do kozy podobne jak do konia. Gdyby wszystko przyszło opowiedzieć, co każdy wie o zmyślności i poczciwości koni, tobyśmy tego nie przegadali przez dzień cały.

Kiedy tak gromada zabawiała się rozmową, Szczepan tymczasem dopchnął konie do wody i napoił; ale kiedy jeden wyszedł już ze strugi, a drugi chciał za nim postąpić, utknął w błocie przodem, zachwiał się i padł na głębszą cokolwiek wodę. — Dla konia w swojej sile przewrót taki nic nie znaczył, ale dla słabego z głodu i z przeciążenia robotą, mógł być bardzo niebezpieczny, bo w tem miejscu było wody blisko

na trzy stopy. Konisko gmerał i ratował się, ale nie miał siły zerwać się na prędce. Zaczął go więc Szczepan dźwigać za ogon, wreszcie wołać o pomoc, ale nim ludzie nadeszli, koń się zalał, i z wody wyciągnęli go już nieżywego. — Że strata konia to szkoda nie lada, więc nikt nie wywiódł żadnej mowy przeciw Szczepanowi, ale każdy pomyślał, że w tym wypadku, to cała wina w niedbałości gospodarza, bo jaki zachód koło czego, taka z tego korzyść.

Jan Gregorowicz.

Bartosz zachęca chłopków do ukochania swego stanu.

Ceńcie drogo tę sukmanę,
Co macie na grzbiecie,
I to ziarno ukochane,
Co w ziemię siejecie.

Wróbel w pawia się nie stroi,
Kocha suknię szarą,
Chłopku! pilnuj pracy swojej,
Kochaj rolę starą.

Pług to miłe wam narzędzie,
Oj! nie ma lepszego,
Póki ten świat światem będzie,
Trudno żyć bez niego.

Więc kochajcie stan wasz kmiecie!
To wam Bartosz śpiewa,
A szczęśliwi tu będziecie,
Wyżywi was niwa.

Wszystko, wszystko, zawieść może,
Nie zawiedzie niwa,
Ona wam da złote zboże,
To wam Bartosz śpiewa.

Hej słuchajcie wy Bartosza,
On wam prawdę prawi,
Tu szukajcie w pracy grosza,
Gdzie Bóg błogosławi.

Jak za zyskiem się puścicie
Po rozległym świecie,
Marnie pójdzie całe życie,
Niczem nie będziecie.

Dziś jesteście, mocny Boże,
Pożytecznym ludem,
Wy niesiecie światu zboże,
Nie zraźcie się trudem.

Uszanują tę sukmanę,
I panowie sami,
I ja bracia tu zostanę,
Na tej roli z wami.



Bartosz do dzieci wiejskich.

Oj szkaradne wy dzieciaki!
Litości nie macie,
Haniebny to zwyczaj taki,
Gniazda wykręcacie.

Gniazdo, to domem ptaszęcia,
Tam kwili niebożę,
Wy głusi na głos pisklęcia,
Wzruszyć was nie może.

Nie ruszajcie gniazdek z drzewa,
Bóg je tam zawiesza,
Niechaj sobie ptaszę śpiewa,
Pieśnią nas pociesza.

Otwórzcie serca litości,
Wszak żyje i ptaszę,
Niechże ludzkość tam zagości!
Wskaże dobroć waszę.



Nietoperze czyli gacki.

Bardzo wiele szkodliwych owadów, ciem i chrząszczów, lata tylko w zmroku i w nocy. Nie złowi ich wtedy żaden ptak żywiący się owadami, prócz jednego kozodoja, bo ptaki wtedy już śpią, a człowiek wcaleby im nic nie zrobił. Gdyby te owady rozmnażały się swobodnie i bez przeszkody, gdyby Pan Bóg nie był stworzył żadnego zwierzęcia, któreby je wyławiało, wyrządzałyby one człowiekowi nie małe szkody w ogrodach, sadach, polach i lasach. Aby więc te owady nie rozmnażały się zbytecznie i ze szkodą roślin pożytecznych i potrzebnych jak dla nas, tak też i dla zwierząt domowych, stworzył Pan Bóg nietoperze czyli gacki, i tak je urządził, że latają w zmroku i w nocy, i jedynie owadami się żywią. Na tem właśnie polega nieoceniona pożyteczność tych zwierzątek.

Nietoperze nie są ptakami, lecz zwierzętami ssącemi, to jest rodzą żywe młode i karmią je mlekiem. Żeby mogły latać, między bardzo długiemi palcami: drugim, trzecim, czwartym i piątym przednich nóżek, które też są daleko dłuższe od tylnych, potem między nogami przedniemi a tylnemi, wreszcie między temi a ogonkiem, rozpięta jest cienka, naga i miękka błona.

Ta błona służy gackom naprzód do latania. Jest ona też nadzwyczaj czuła, tak samo, jak np. błona w uchu naszem, której lekkie nawet dotknięcie sprawia nam boleść. Ta więc czułość błony lotnej u nietoperzów ułatwia im latanie w nocy w ten sposób, że czują bliskość każdej rzeczy, nawet nitki czarnej, choć jej dla ciemności nocy nie widzą. Dlatego nie uderzy się gacek nigdy o nic.

Oczka mają nietoperze malutkie; ale za to mają one bardzo wielkie uszy. U wielu nietoperzów są te uszy dłuższe, niż głowa, a u jednego z nich są one nawet tak długie i szerokie, jak cały tułów jego. Uszy te tworzy bardzo cienka i mięciuchna błona. Za pomocą takich uszów gacki, nie mogąc w nocy dobrze widzieć, tem lepiej słyszą, daleko lepiej, niż wszystkie inne zwierzęta, i nawet lepiej, niż człowiek. Słyszą one doskonale najciższy brzęk latających owadów, i tym tylko sposobem

lecąc cichutko za niemi łapią je, choćby ich nie widziały. Ktoby umiał naśladować brzęk muchy, albo jakiego innego owadu, stojąc cichutko i brzęcząc, może bliziutko do siebie zwabić latającego gacka.

Przekonano się także, że gacki nie pojawiają się z wieczora o jednym czasie, lecz jedne wcześniej, drugie później, gdy się już dobrze ściemni. Wszakże im później w noc, tem też ciemniej, tem mniej widać. Więc też i gacek, im mniej może widzieć, tem mu też potrzeba lepiej słyszeć.

Otóż dlatego maja gacki tak wielkie uszy, aby nie mogąc widzieć, tem lepiej słyszały. I w tem mamy dowód mądrości Boga, że nie wszystkie gacki latają o tym samym czasie, lecz jedne wcześniej, drugie później, bo też nie wszystkie owady nocne latają o tym samym czasie, ale jedne wcześniej, drugie później. Niektóre gacki latają już przed zachodem słońca i dosyć wysoko, inne o zmierzchu i przed wschodem słońca, jeszcze inne koło północy; niektóre latają niziutko ponad ziemią, inne blisko wód i ponad niemi, znowu inne między drzewami i koło ich wierzchołków, jedne bliżej mieszkań ludzkich i koło nich, inne koło lasów i zarośli. Gdziekolwiek więc i kiedykolwiek latać zwykły o zmierzchu i w nocy owady szkodliwe, tam i wtedy latają także nietoperze i sprzątają je. Ażeby zaś zbyt silny dźwięk jaki, np. głos dzwonu, wystrzał lub inny podobny nie sprawiał nietoperzom boleści, albo ich zgoła nie ogłuszył, dlatego mogą one ucho nietylko za siebie, przed siebie, lub na bok zgiąć, ale nawet płatkiem odstającym od niego, czyli osobną błoną, zasłonić i zatkać.

Niektóre nietoperze mają na nosie naróśl z błony, nozdrze zaś zwykle wielkie i mocno rozwarte, które jednak w razie potrzeby mogą zamknąć. Jest więc rzeczą pewną, że te zwierzątka mają węch bardzo dobry i że takowy do łowienia owadów jest im zarówno pomocny, jak bystry słuch i czułe błony. Nietoperze kierują się zatem w locie wśród nocy głównie: czuciem, słuchem i węchem. Żeby zaś tem pewniej i zręczniej mogły łapać owady, mają szerokie pyszczki. Każdemu dobrze wiadomo, że lis, wilk, kot nie takie ma zęby, jak zając, wiewiórka, koza, owca, wół, krowa lub koń. Dlaczego to tak jest?

dlaczego nie wszystkie zwierzęta jednakowe mają zęby, czyli jak to mówią, jednakowe uzębienie? Zęby służą do gryzienia, do żucia, do rozdrabniania pokarmu. Więc według rozmaitości pokarmu, jakim się zwierzęta żywią, mają one też rozmaicie urządzone zęby i nie w jednakiej liczbie. I rzeczywiście krowa, wół, koń, zając, wiewiórka i tym podobne zwierzęta nie żywią się mięsem, lecz trawą, sianem, słomą, owsem, słowem pokarmem roślinnym, i dlatego mają one zęby trzonowe o koronie płaskiej; kot zaś, wilk, lis i tym podobne zwierzęta nie jedzą słomy, siana, trawy, owsa, lecz żywią się mięsem, więc też zęby ich inaczej są urządzone, aniżeli u krowy, konia lub zająca. Z zębów można zatem poznać, czem się zwierzęta żywią; od tego zaś, czem się to lub owo zwierzę żywi, zależy najczęściej jego pożyteczność lub szkodliwość.

Jakież tedy zęby mają nietoprze żyjące u nas? Otóż mają one z przodu tak zwane siekacze, potem kły, wreszcie zęby trzonowe, przednie o jednym, tylne o kilku ostrych końcach, razem 32 do 38. Takie zęby nie mogą służyć do gryzienia i żucia pokarmu roślinnego, lecz jedynie do pożywienia z much i chrząszczów. Tak też jest rzeczywiście: nietoperze żywią się li tylko chrząszczami, ćmami, muchami, słowem wszelakiemi owadami latającemi w zmroku i w nocy. Nietoperze żyjące u nas, są to zwierzątka dosyć małe, bo chociaż z rozpiętemi skrzydłami są 8 do 14 cali szerokie, przecież tułów u niektórych ma tylko jeden i pół, a u jednego nawet, zwanego k a r l i k i e m, tylko trzy czwarte cala długości. Te nietoperze należą więc do najmniejszych zwierząt ssących. Gdyby tedy ilość pożywienia u nich była zastósowaną do ich wielkości, nie wieleby one zjadły owadów i nie wielki przynosiłyby pożytek. Wszakże rzecz ma się inaczej. Chociaż nietoperze są zwierzątka małe, strawią one jednak bardzo wiele, i wiele też jedzą. Tak np. zje nietoperz nieco większy od razu dwanaście chrabąszczów, które razem ważą niemal tyle, co on sam nienajedzony; mniejszy nietoperz zje kopę much, a jeszcze nie będzie syty i po chwili znowu będzie jadł. A muszą te zwierzątka dużo naraz jeść, bo siedzą cały dzień w ukryciu, nie mają po co latać w słotę, a śpią całą zimę, tedy nie wytrzymałyby,

gdyby mało jadły naraz. Przekonano się także, że nietoperze nie zjadają skrzydeł, pokryw i nóg większych chrząszczów, ani skrzydeł ciem, lecz same tylko tułowy. Przeto zdołają one daleko więcej zjeść i strawić, niż gdyby zjadały zarazem tak twarde i suche części owadów, jakiemi są właśnie: skrzydła, nogi i pokrywy. Jakoż między drzewami, niemniej na chodnikach i drogach obsadzonych drzewiną, kędy latają nietoperze, zrana po ciepłej nocy nieraz można widzieć niemało skrzydeł z ciem lub innych owadów zjedzonych w nocy od nietoperzów.

Najwięcej rozmaitego robactwa lata z wieczora i w nocy w pobliżu mieszkań ludzkich, stajen i stodół, między drzewami koło zabudowań i w sadach, po brzegach lasów i nad drogami leśnemi, tudzież w pobliżu wód stojących i płynących lub nad niemi, a daleko mniej w szczerem polu. Więc też i nietoperze latają najwięcej koło domów i budynków gospodarskich, w sadach, między drzewami koło domów i dróg, słowem tam, gdzie latają owady. Każdy zatem rozumny gospodarz powinien się cieszyć, widząc jak latają koło domu lub po sadzie nietoperze, bo one wybierają skrzętnie wszystkie owady, które się w dzień dobrze ukrywają, które rozmnożywszy się, człowiekowi dotkliwe wyrządzałyby szkody, a którychby on w żaden sposób nie zdołał wytępić. (D. n.)

Jak chować cielęta?

(Dokończenie).

W tym czosie, to jest w pierwszych ośmiu do dziesięciu miesiącach, cielę najwięcej rośnie, najwięcej też potrzebuje posilnego pokarmu. Kto w tym czasie nie skąpi owsa, dochowa się rosłego i silnego bydła. Później, w dziewiątym miesiącu, można zmniejszyć porcyę owsa, a w dziesiątym całkiem zaprzestać go dawać; ta oszczędność nie będzie już szkodzić cielętom Zamiast owsa, daje się więcej siana, łuski z nasienia lnianego, a nawet zielona pasza nic już w tym czasie cielętom nie szkodzi; jedzą ją chętnie i wyglądają zdrowo. Dobrze jest już sześciomiesięczne cielęta wypędzać na pastwisko, aby bawiąc się i skubiąc trawę, przyzwyczajały się do zielonej paszy.

Świeże powietrze, bieganie i skakanie po pastwisku przyczynia się wiele do zdrowia młodego bydła. Kości lepiej się rozrastają, a cielęta nabierają siły i wytrwałości, przyzwyczajają się do znoszenia gorąca, zimna i deszczu. To jednak, co młode sześciomiesięczne cielęta uskubią na pastwisku, nie wystarczy do ich wyżywienia W stajni trzeba im dawać co dzień 2 kwarty owsa i siana, w takiej ilości, jak już pierwej wspominałem. Cielę dziesięciomiesięczne winno dostawać to samo, co dorosła dojna krowa, a więc siano, plewy, zgoniny, sieczkę z słomy jarej i t. d. Kto może, niech dodaje makuchy lniane, albo rzepakowe do zwykłej paszy, nie więcej jednak jak funt albo półtora na sztukę młodego jałownika. Makuchy można potłuc, rozmięszać w wodzie i tak dawać. Z początku bydło nie bardzo będzie jeść, ale potem się rozsmakuje i chciwie będzie chwytać. Tak powinno się karmić cielęta, ale oprócz tego, kto chce dochować się dobrego bydła, musi jeszcze na wiele innych rzeczy uważać. W zimie nie należy cieląt wypuszczać ze stajni: zimne powietrze często im szkodzi, łatwo mogą dostać zapalenia płuc, a wtedy zazwyczaj giną. Zagródka, w której cielę stoi, powinna być dobrze wyścielona słomą. Nie należy także stawiać dwoje lub więcej cieląt do jednej zagrody; trącają się i uczą różnych złych przyzwyczajeń. Najczęściej chwyta jedno drugie za uszy, za ogony i ssie na nich. Tym sposobem wiele włosów dostaje się cielętom do żołądka, co znowu pociąga za sobą różne choroby, a nieraz nawet i śmierć. Często gospodarz widzi, jak cielę zamiast róść, mizernieje, chudnie, a nawet i zdycha, a nie wie z czego; żeby rozciął żołądek i zobaczył, ile w nim znajduje się włosów w kłębek zbitych, toby się wcale nie dziwił. Gdzie można, należy więc cielęta osobno trzymać. Czystość powinna być także jak największa. Do trzech tygodni trzeba wycierać cielę codzień dobrze słomą. Cielę to lubi, stoi spokojnie, słucha, i wcale się nie broni. P źniej czyści go się już szczotką i zgrzebłem. Ktoby nie chciał wierzyć, jak bardzo czystość przyczynia się do rośnięcia i dobrego wyglądania, niech zrobi próbę. Z dwóch cieląt jednego wieku, to które się codzień starannie czyści, będzie daleko zdrowsze, silniejsze i większe, jak to, które się nie czyści. Dobrze jest

także od czasu do czasu strzydz cielęta, łatwiej potem utrzymać ich w czystości. Strzyżka taka przedewszystkiem chroni od zamnożenia się wszy, tej dokuczliwej plagi, która prześladuje nasze bydło, a młodym cielętom szkodzi nawet na zdrowiu, przeszkadza w rośnieniu i rozwijaniu się. Czasem jednak mimo starania i czystości rozmnożą się na cielęciu wszy; trzeba wtedy zaraz zabrać się do wyniszczenia tej plagi, aby cielę nie mizerniało. Różnych na to używają środków: jedni smarują szarą maścią, której w każdej aptece dostać można; drudzy znowu gotują w wodzie tytoń i tym odwarem smarują cielęta. Lekarstwa te niszczą wprawdzie wszy, ale są tak mocne, że nieraz zdrowiu bydła szkodzą. Trzeba je używać bardzo ostrożnie i nigdy ani szarą maścią, ani odwarem z tytoniu nie smarować całego cielęcia, tylko te miejsca, na których się wszy pokazują. Podaję tu jeszcze jeden, bardzo dobry, a wcale nieszkodliwy środek przeciw wszom. Wygotowuje się w wodzie pietruszka, a kiedy ten odwar ostygnie, wymywa się nim dobrze całe cielę. Jeżeli od razu wszy nie wyginą, należy obmywanie dwa albo trzy razy powtórzyć, wtedy z pewnością plugactwo zniknie. Przy takiem karmieniu i pielęgnowaniu cieląt, dochowamy się z pewnością pięknych krów i silnych wołów. Ale może niejeden, przeczytawszy to wszystko, co tu napisano, pomyśli sobie, a gdzieby mnie się tam chciało robić sobie tyle zachodów kolo jednego cielęcia? Zapewne! pracować trzeba, bo „bez pracy, nie będzie kołaczy“, mówi dawne przysłowie. Kto woli leżeć za piecem, jak chodzić koło bydła, ten się pewnie niczego dobrego nie dochowa. Nie pisałem też tego dla leniuchów, ale dla ludzi pracowitych, którzy chcą czegoś się nauczyć i coś się dowiedzieć. Ci sprobują chować cielęta, jak im radzę, a przekonają się, że im życzę szczerze. Nie żałujcie trochę więcej pracy, a bydło wasze będzie mleczne, piękne, rosłe i silne.

Piotr z pod Rudek.

Skała Mnich.

(Podanie).

Zkąd cieplejszy wieje wiatr,
Gdzie się piętrzą szczyty Tatr [1]),
Tam wysoko i głęboko
Rozlało się Moskie oko. [2])

Przy tym stawie, wśród skał tych
Sterczy jedna, zwana Mnich;
Cały olbrzym ten z granitu,
Ma niezwykły kształt habitu..

Bardzo dawny temu wiek,
Gdy przebywał wśród gór człek;
Zbójeckiego był rzemiosła —
Zgroza o nim w ludzie rosła.

Raz szedł starzec po pod las,
Prawie w nocny, późny czas.
Zbójca wypadł, bo tam siadał,
I siedmnaście ran mu zadał...

Zaraz oczy poszły w slup
I na ziemię runął trup.
W tem z chmur księżyc wykrył lica
I trupowi twarz oświeca

Zbrodniarz patrzy — nagle zbladł,
Na kolana spiesznie padł,
Bo w zabitym straszny zbójca
Poznał z lękiem swego ojca..

Jak osika cały drży
I w modlitwie leje łzy;
Rzucił ostrze i ponury
Poszedł między nagie góry.

Szatę mnisią na się wdział,
Na posłanie drzewo brał,
Jadł korzenie, aby godnie
Pokutował za swe zbrodnie.

---

[1]) Góry w południowej stronie, za Nowym Targiem.

[2]) Tak zwany staw ogromny, na wysokości, pomiędzy wysokiemi górami w Tatrach, mający przeszło 80 morgów obszaru. Głębia w nim niezgruntowana w wielu miejscach.

A gdy nędzny przyszedł zgon,
Przemienił się w skałę on;
Zaraz tyle szczerb posiadał,
Ile ojcu ran był zadał.

Rzeczywiście skała ta
Dziś rozpadlin tyleż ma;
A gdy je deszcz pospłukuje —
Zbrodniarzowi Bóg daruje.

Taka baśń o skale Mnich:
Ciężka kara ludzi złych,
Bo jak trudno skałę gładzić —
Tak i z win się wyprowadzić.

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

— *Recepta.* Wyśmiałbyś tego, ktoby ci powiedział, że receptę ledwie mógł zanieść tęgi chłop do apteki. A to przecież nie żart, i wypadek taki zdarzył się przed kilkunastu laty. Przed aptekę zajechał wóz, a chłop tęgi zdjął z niego ogromne drzwi i niesie do apteki i aż stęka pod ciężarem. „Zbłądziliście gospodarzu“, krzyczy aptekarz, gdy chłopa z drzwiami u siebie zobaczył — „tu stolarz nie mieszka, tylko opodal w drugim domu.“ — „Ależ, bo proszę pana“, tłumaczy się chłopek, „ja do apteki przychodzę“, i pokazuje palcem na drzwi, gdzie kredą wielkiemi literami wypisana była recepta. „Ja człowiek nie piśmienny“, powiada dalej, „więc w domu ani papieru, ani atramentu nie mam, tak samo u moich sąsiadów. Żona mi zachorowała, zawołałem więc lekarza, a że nie było ani czem ani na czem pisać, więc święconą kredą napisał na drzwiach receptę.“ Aptekarz się uśmiał do woli i zgotował lekarstwo.

Zagadka.

Pierwszem zwiesz siebie samego,
Druga tyczy się trzeciego;
Druga z trzecią wraz czytane,
Weselem są nazywane.
Wyraz jeśli weźmiesz cały,
Da ci owoc słodki, mały. *W. D.*

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Jnstian.

Wydano dnia 24. Lutego 1872.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.